



Kryminał z myszką

73

Taniec szkieletów

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

TANIEC SZKIELETÓW

Kryminał z myszką – Tom 73

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-82-9

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1977

Rozdział 1

– Krzyk... Tak, to był krzyk człowieka. Raz czy dwa krzyknął? Nie pamiętam. Ale słyszałem go poprzez huk pociągu. I mimo wiatru, bo wtedy wiał wiatr. Zadyмка była, śnieg walił. Jak teraz.

Major słuchał uważnie, nie przerywając ani jednym słowem. Wąskie, czarne oczy paliły mu się pod ciemnymi brwiami, patrzył prosto w oczy tamtego i siłą swego wzroku jakby zmuszał go do ściślej, rzeczowej relacji. Gawran lubił inaczej – długo, rozwlekle, z fantazją, przeplatając prawdę z tym, co mu niosła wyobraźnia. Żeby go słuchali, z rozdziawionymi gębami, w skupionej ciszy, w której każdy stara się nie uronić ani słowa. Cóż, kiedy teraz trzeba było samą prawdę. A prawdy są na ogół mniej ciekawe niż Gawranowa fantazja.

Podniósł się z krzesła, poprawił ogień w piecu, bo siedzieli w kuchni, tu było cieplej. Gawranowa westchnęła ciężko. Ona też lubiła opowiadać, jednakże mąż miał pierwszeństwo w chałupie. Żeby nie być już taką ostatnią, jak ta noga stołowa, zakrzętnęła się koło herbaty, postawiła przed oficerem szklankę i cukier, chłopu dała w dużym, półlitrowym kubku. „Jego” kubku. Kiedy raz dała mu w szklance, rozbił ją o ścianę, i tyle.

– Ten krzyk – zaczął major z namysłem – słyszał pan przed hałasem nadjeżdżającego pociągu? Czy po?

– Nie. Ani przed, ani po. To było tak razem. Jedno z drugim.

– Ile metrów jest stąd do torów?

– Dokładnie trzydzieści sześć. Bo mierzyłem kiedyś, jak mi pociąg owcę przejechał. Sołtys mówił, że mogą dać odszkodowanie, bo tor leci za blisko budynków gospodarskich.

– Ale nie dali! – wtrąciła szybko Gawranowa.

– Cicho, stara. Dali nie dali, owca nie ma tu nic do rzeczy. Pan major chce wiedzieć o człowieku.

– Słyszał pan krzyk, ale przecież była noc, zima. Okna zamknięte. Nie spał pan jeszcze?

– Spałem. Ten pośpieszny leci o pierwszej dwadzieścia, a jak się spóźni, to i o drugiej. Tamtej nocy był koło nas pół do drugiej. Zbudziłem się chwilę przedtem, sam nie wiem dlaczego. Może przez ten wiatr. Rzucił śniegiem w okna.

– Psa żeś wpuścił do domu! – znowu wmieszała się żona.

– Cicho, stara. Psa wpuściłem, prawda, bo mi żal było, skomlał na dworze, pewnie zmarł. Więc może z tego skomlenia się zbudziłem. No i słyszę, że pociąg nadjeżdża. Uchyliłem drzwi, taką szparkę zrobiłem, bo lubię popatrzeć na pośpieszny. Chwilęostałem, długo nie, bo śniegu zaraz nasypało do sieni.

– I wtedy słyszał pan krzyk?

– Tak. Pomyślałem, że ktoś okno w przedziale otworzył i krzyczy. Rano już o tym zapomniałem. Dopiero wczoraj, jak pies rozgrzebał zaspę...

Gawranowa wzdrygnęła się.

– Tyle czasu leżał obok chałupy, a my nic nie wiedzieli – szepnęła ze zgrozą. – Chryste Panie, jakie to ludzie są! – dodała, nie wiadomo pod czyim adresem.

Skrzypnęły drzwi od sieni, pies zerwał się spod stołu, zaczął ujadać, ale Gawranowa chwyciła go, za ogon i odciągnęła psa z powrotem. Wszedł milicjant w ośnieżonym mundurze, wytarł buty w słomiankę. Oficer popatrzył na niego pytająco.

– Przyjechali z komendy wojewódzkiej, obywatelu majorze. I lekarz. Jest też wóz pogrzebowy. No i piesek...

– Po co? – mruknął, podnosząc się z krzesła.

Włożył skórzaną kurtkę, podbitą barankiem, nasunął czapkę. Wyszli z milicjantem przed dom. Nysa z błękitnym poprzecznym pasem i literami „MO” stała kilkadziesiąt metrów dalej, w pobliżu rozgrzebanej zasy śnieżnej. Przewodnik z psem trzymał się z boku. Uważał,

że wezwano ich, jego i psa, zupełnie niepotrzebnie. Trup był stary i w dodatku zasypywany śniegiem, ślady, jeżeli były, od dawna nieaktualne.

Przywitali się, lekarz z komendy przyjrzał się ciekawie obcemu majorowi, tamci znali go nie od dziś.

– Doktor Kropicki, major Szczęsny z Komendy Głównej – mruknął kapitan dla formy. Zabił parę razy rękami, bo zmarzył w samochodzie i ruszył w stronę zasy. Technik i fotograf szli za nim, pogadując o czymś z cicha. Ciemny, włochaty wilczur Bej przysiadł i wyczekująco spojrzął w oczy swemu panu. Ten podrapał go za uszami, ale pozostał na miejscu.

– Niepotrzebnie was ściągnęli – rzekł Szczęsny, przechodząc obok przewodnika. – Wejdźcie do wozu, pies łapy sobie zagrzeje.

Zwłoki, ostrożnie odgrzebane spod warstwy śniegu, leżały na workach z grubej folii, pewnie po chemikaliach. Był to mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany, z gęstymi jasnymi włosami. Miał na sobie piżamę w paski, nogi boso. Sztywny od mrozu, o białej twarzy, wyglądał jak źle zrobiony manekin.

Pies tropiący pociągnął przewodnika w tę stronę, dotknął nosem zimnej bosej nogi i cofnął się jeżąc sierść.

Lekarz przykucnął nad ciałem, fotograf robił swoje. Kiedy unieśli zwłoki, Kropicki w milczeniu wskazał na szerniały od krwi wąski otwór w plecach, pod lewą łopatką.

– Zabity. Tak jakby nożem. W pociągu? Ktoś by słyszał walnę, szamotanie – rzekł kapitan z powątpiewaniem. – Chyba dopiero tutaj, po wyrzuceniu. Przeszukajcie teren – zwrócił się do dwóch milicjantów. – Nóż, sztylet, coś takiego.

– Mógł nikt nie słyszeć – powiedział Szczęsny. Wodził wzrokiem od zasy do torów i od torów do chałupy, mierzył odległość i zastanawiał się głośno – noc, hałas pociągu. Skąd mamy pewność, że go w ogóle wyrzucono z wagonu? Dziesięć metrów dalej jest szosa. Jeżdżą samochody.

– Tylko, że samochodem nikt nie podróżuje w piżamie – zauważył kapitan. – Zwłaszcza zimną. W piżamie i boso.

– Oczywiście – łatwo zgodził się major. – Doktorze, kiedy to się mogło stać? Mam na myśli, jak długo on tutaj leży.

– Kilka dni. Myślę, że od ostatniego śniegu.

– Do niedzieli pola były czarne, błoto stało w bruzdach – wtrącił komendant miejscowego posterunku. – Dopiero w poniedziałek zaczęło sypać. Padało dwa dni, potem chwycił mróz. Dzisiaj mamy piątek. Od środy już było słońce i po piętnaście stopni mrozu w nocy.

– Czyli, że można przyjąć dwa dni, poniedziałek i wtorek. A raczej dwie noce, z poniedziałku na wtorek i następną. Dwie noce – powtórzył Szczęsny, patrząc na zwłoki.

Pochylił się, aby przejrzeć kieszenie od piżamy. Zmarznięty materiał, jakieś sztuczne tworzywo, trzaskał mu w palcach i darł się, nie wytrzymał zbyt dużego zimna. Zresztą, kieszenie były puste.

– Wiek około czterdziestki – rzekł Kropicki. – Dość dobrze umięśniony, mocno zbudowany. Pewnie trochę kulał, jedna noga ze dwa centymetry krótsza. Wolałbym szybko zrobić sekcję, bo jak zacznie tajać...

– Kapitanie, wyślijcie zwłoki do miasta. I chodźcie jeszcze ze mną do tego gospodarza, porozmawiamy.

Milicjanci, którzy bez przekonania szukali w śniegu noża lub sztyletu, chwycili folię z dwóch stron, dźwignęli ostrożnie i ponieśli do stojącego z boku samochodu pogrzebowego. Kierowca wychylił się przez opuszczoną szybę, popatrzył, splunął i szybko cofnął głowę. Woził eleganckie trumny z wieńcami, do takich widoków nie był przyzwyczajony.

Konwojent zatrzasnął tylne drzwi i wszedł do szoferki, aby nie siedzieć razem z „czymś takim, strach popatrzeć”.

Gawranowie pilnie obserwowali wszystkie czynności milicyjne, stojąc o kilka kroków od drzwi chałupy. Ich pies, mały czarny kundel, obszczekiwał zawzięcie służbowego owczarka. Przewodnik z nudów ciskał w kundla śniegiem albo przechadzał się z wolna po zamrożonym polu, a wielki ciemnowłosa Bej, z czujnie postawionymi uszami, stąpał obok niego.

– My do was, panie Józefie – rzekł komendant posterunku. Znał Gawranów, jak zresztą wszystkich gospodarzy z tej wsi i paru sąsiednich. Urodził się tutaj, wychował, później wyjechał do miasta i wrócił w szarobłękitnym mundurze, z naszywkami starszego sierżanta MO.

– A, proszę – Gawran, podreptał do domu, żona za nim.

Usiedli znowu w kuchni, ogrzali się i Szczęsny rzekł:

– Panie Gawran, niech pan nam jeszcze raz powie, kiedy słyszał pan ten krzyk.

Dokładnie.

– No, więc już mówiłem, że to było w nocy. Z tego poniedziałku, co minął, na wtorek. Jak leciał pośpieszny.

– Czyli z szóstego na siódmy – uzupełniła Gawranowa, zerknąwszy na kalendarz. – Pamiętam, bo szóstego rano...

– Cicho, stara – przerwał jej znów mąż. – Pan major pyta o to, co w nocy, nie o to, co rano.

– Poszli my do sołtysa – kobieta nie dała za wygraną. – W sprawie zapisu na cement.

– Dobrze. I dzisiaj, kiedy pan wyszedł na pole, zobaczył pan, że pies odgrzebał w zaspie zwłoki – mówił Szczęsny.

– Tak to było. Dałem znać do sołtysa, bo u niego jest telefon, a on zadzwonił na posterunek do pana komendanta. Nie minęło ani pół godziny, pan sierżant już tu był.

Komendantowi wydało się jednak, że pół godziny to mogło być za długo. Wyjaśnił z zażenowaniem, że na drogach duże zasy i nie mógł się przebić motocyklem, więc go zostawił w agencji pocztowej, a sam poszedł pieszo „na skróty”.

– Nic pan nie ruszał przy zwłokach?

– A skądże, panie majorze! – Gawran uderzył się pięścią w piersi, aż zadudniło. – Tak, jak leżał, tak go komendant zastał. Dzieciaków trochę się zleciało, bo ktoś słyszał jak sołtys telefonował, ale je odpędziłem. Stałem obok tej zasy, pilnowałem porządku.

– I pamięta pan, że pośpieszny szedł tamtej nocy o pół do drugiej?

– Na duży zegar spojrzałem, była ta godzina.

Obaj oficerowie popatrzyli na ciemnobrązowy, drewniany zegar z kukułką, chyba jeszcze przedwojenny, bo kto teraz takie robi. Szczęsny porównał czas na swojej „Rakiecie”, zgadzało się, co do minuty.

– Krzyk powtórzył się dwukrotnie?

– Tak jakby. Ale co krzyczał, tego nie usłyszałem.

– Męski głos czy kobiecy?

Gawran uniósł w górę ramiona, jakby się dziwił.

– Przecie ten trup, to chłop!

– A skąd pan wie, że to właśnie ten człowiek krzyczał?

– No, po prawdzie to... Tak myślę, że on. Wyrzucił go ktoś albo sam skoczył. I przedtem krzyknął, ze strachu. Albo się pokłócili i... – Gawran chodził po kuchni, wyobraźnia zaczęła pracować. Żona wodziła za nim oczami, czyhając na moment, w którym będzie mogła wtrącić choć jedno słowo.

– Idziemy – major sięgnął po czapkę. – Do widzenia.

W samochodzie z Komendy Głównej było sporo miejsca, toteż kapitan wszedł do Mercedesa. Szczęsny chciał zresztą omówić z nim to i owo. Wyprzedzili Nysę, szosa była odśnieżona przez pługi, gładka.

– Zastanawiam się, czy Gawran rzeczywiście słyszał wtedy krzyk – rzekł major. – Bo to by mogło znaczyć, że ten facet został zabity już po wyrzuceniu z pociągu. Trochę mi to nie pasuje. Zakładam, że jechał w wagonie sypialnym pośpiesznego, który idzie na Wiedeń. Oczywiście, nie musiał aż tam jechać, ale w pociągu, który leci o tej porze, jest bezpośredni wagon sypialny do Wiednia. Czy nie mieliście żadnych sygnałów od kolejarzy? Przecież zginął im pasażer. Musiało zostać ubranie, bagaże. A u konduktora bilet sypialny i kolejowy.

– Ja dopiero wczoraj wieczorem wróciłem z urlopu. Nie czytałem jeszcze biuletynów. Rano naczelnik zawiadomił mnie o zwłokach i od razu przyjechałem tutaj.

– Musi być u was jakaś wiadomość.

– Sprawdzimy. Jak to się stało, majorze, że byliście we wsi przed nami?

Szczęśny uśmiechnął się.

– Przypadek. Jechałem w innej sprawie, załatwiłem i kiedy rozmawiałem dziś rano telefonicznie z Warszawą, szef zlecił mi małe zboczenie z kursu.

– Przejmiecie sprawę?

– Nie wiem jeszcze. Może poprowadzimy razem. Długo i tak nie mogę tu zostać, najwyżej dzień, dwa.

W komendzie wojewódzkiej kapitan zdał relację naczelnikowi wydziału kryminalnego, a Szczęśny poprosił o meldunki z ostatniego tygodnia i zasiadł nad nimi, trochę przysłuchując się temu, o czym mówili, a trochę przeglądając zgłoszenia i notatki służbowe.

– Jest! – mruknął w pewnej chwili. – To by się zgadzało.

– Macie na myśli zawiadomienie z PKP? – spytał naczelnik, poruszony niespodziewanym pojawieniem się wysłannika Komendy Głównej.

– Tak. Konduktor... tak, jak przypuszczałem, pośpieszny na Wiedeń..., ale pasażer do Zebrzydowic. Miejsce sypialne, klasa pierwsza, bilet normalny, wykupiony w Warszawie. Co prawda w tym zawiadomieniu nie ma ani słowa o tym, że pasażer wypadł z pociągu. Ani, że w ogóle zaginął! Tylko, że nie odebrał biletów. Może po prostu nie były mu do niczego potrzebne?... Aha, tu jest taka uwaga konduktora: „Pasażera tego zapamiętałem, kiedy szedł korytarzem wagonu, ponieważ trochę kulał. Nie zauważyłem go natomiast, jak pociąg zatrzymał się w Zebrzydowicach, chociaż powinien był wysiąść. Zajrzałem do przedziału, łóżko było puste. Nie było żadnych rzeczy ani walizki. Drugiego pasażera w tym przedziale nie miałem. Pamiętam, że ten pierwszy miał ze sobą walizkę. Gdyby wysiadł na którejś z poprzednich stacji, na pewno bym to zauważył, bo musiałby przejść obok otwartych drzwi przedziału służbowego. W tej sytuacji uważałem za stosowne zawiadomić kierownika pociągu o powyższym”. Tak. No, a kierownik przysłał pismo do komendy. Bardzo słusznie. Czy przesłuchaliście już tego konduktora, naczelniku?

– Nie, ale kiedy otrzymałem informację o znalezieniu zwłok, posłałem milicjanta na Słoneczną dwanaście. – A widząc zdziwione spojrzenie Szczęsnego, dodał. – Bo ten konduktor jest stąd, nie z Warszawy, i właśnie mieszka na Słonecznej. Spał, kiedy milicjant przyszedł, ale będzie u nas – spojrzał na zegarek – za kwadrans.

Był nawet wcześniej. Usiadł po drugiej stronie biurka, przygładził włosy, przyjrzał się uważnie trzem oficerom i rzekł z wyrzutem:

– Mam służbę w nocy, chciałem się wyspać.

– Przykro nam – odparł Szczęśny – ale potrzebujemy od pana paru wyjaśnień.

– Co do tego pasażera z sypialnego?

– Skąd pan wie, że o niego chodzi? – wtrącił kapitan.

– A o cóż innego. Nie przemycam, nie biorę lewych pasażerów, wódki w wagonie nie sprzedaję... Znalazł się ten facet?

– Tak, choć nie w tym stanie, w jakim pan go widział. Proszę popatrzeć – major rozrzucił na stole kilka zdjęć – Czy to był któryś z nich?

Konduktor przebiegł wzrokiem po fotografiach i potrząsnął przecząco głową.

– A może tutaj pan go poznaje?

Jedno zdjęcie było jeszcze wilgotne nie zdążyło wyschnąć. Kolejarz rzucił okiem, zmarszczył brwi.

– Chyba ten – wskazał palcem na twarz zmarłego. – Dziwne jakieś takie zdjęcie... Nie żyje?

– Zgadza się. Niech pan teraz opowie dokładnie, jak to z nim było. Czy przyszedł sam, czy w drodze z kimś rozmawiał, czy stał w korytarzu? Kupował coś od pana? Wychodził do toalety?

Konduktor zamyślił się na chwilę, a potem powoli odpowiadał na zadane pytania:

– Pasażer wszedł sam, na korytarzu stał przez jakiś czas, to pamiętam, bo przechodząc tam i z powrotem, jak to zwykle na początku podróży, potrąciłem go kilkakrotnie. W ogóle pasażerów nie było dużo, dwie kobiety i ze czterech mężczyzn. Nie, nie zauważyłem żeby ten człowiek z kimkolwiek rozmawiał. Nie kupował nic do picia. Do toalety pewnie nie wychodził, bo miał przedział pierwszej klasy, więc raczej nie potrzebował, rozumiecie panowie.

– Zniknięcie pasażera zauważył pan dopiero w Zebrzydowicach?

– Na krótko przedtem. Kazał się obudzić kwadrans wcześniej. W Zebrzydowicach powinniśmy być o trzeciej szesnastce. Mieliśmy małe spóźnienie, więc poszedłem go budzić gdzieś o trzeciej dziesiątej.

– Czy w trakcie jazdy, około godziny... powiedzmy, między pierwszą a drugą, był pan u siebie w przedziale?

– Tak.

– Spał pan?

– No – konduktor zawahał się. – Może się zdrzemnąłem. Wie pan, jak to jest. Noc, cicho, spać się chce.

– Załóżmy, że pan zasnął. Czy drzwi po obu stronach wagonu były zamknięte na klucz?

– Oczywiście! To znaczy... te jedne, to nie. Bo przychodzili ze zwykłych wagonów po oranżadę i wodę mineralną. Więc te bliższe mojego przedziału były otwarte. A tamte na pewno zamknięte.

– No, tak – mruknął Szczęsny. – W tej sytuacji...

– Mnóstwo ludzi mogło się kręcić po wagonie sypialnym – zauważył naczelnik. – Czy w Zebrzydowicach jeszcze ktoś wysiadał?

– Nie. Tylko ten jeden miał wysiąść. A właściwie, co się z nim stało?

– Wypadł z pociągu. Albo został wyrzucony. Nic pan nie słyszał, żadnego hałasu, szamotania? Krzyku?

– Nie.

– A w przedziale, żadnych śladów? Żadnych rzeczy?

– Nic. Zdziwiłem się, pomyślałem: kiedy on wysiadł? I biletów nie odebrał. No, jak jechał prywatnie, to mu do rachunku nie były potrzebne. Od Warszawy do Zebrzydowic ten pociąg staje na pięciu stacjach. Zatrzymywaliśmy się też, chyba dwa razy, w polu.

– Gdzie?

– Nie wiem – przyznał z zażenowaniem. – Zadymka była, ciemno. Więc może wtedy wysiadł? Ale po co? Aha – przypomniał sobie nagle – w jego przedziale okno było otwarte.

– Przeciśnię się człowiek przez takie okno? Bo są różne okna w różnych wagonach.

– W tym sypialnym, to był stary wagon, chyba przeciśnię się.

– Przeglądał pan pościel? Czy nie miała śladów krwi?

– Nie, nie przyszło mi do głowy, że to może być coś takiego... Ale to by się może dało sprawdzić w pralni – ożywił się.

– Sprawdzimy. Ten pasażer kulał?

– Tak, ja o tym napisałem.

– Rozmawiał pan z nim o czymkolwiek?

– Nie. Wskazałem mu miejsce, wzięłem bilety. Pasażer, jak wszyscy. Nie było potrzeby, aby się nim bliżej interesować. Czasem ktoś zachoruje albo przychodzi do mojego przedziału, kupuje coś, rozmawia, pyta o stację, o godzinę. Ale ten nie. W ogóle, facet nie do zapamiętania. Za często jeżdżę, aby zastanawiać się nad pasażerami.

– W porządku. On miał dolne łóżko czy górne?

– Dolne. Bilety kupione w „Orbisie” na placu Konstytucji.

– Gdzie są?

– Oddałem kierownikowi pociągu.

– Po czterech dniach... – zaczął Szczęsny i urwał. Jasne było, że w przedziale na próżno dzisiaj szukać śladów linii papilarnych, od tej pory przebywało w nim pewnie kilkunastu podróżnych. – Proszę powiedzieć, czy orientuje się pan, choćby w przybliżeniu, kim byli pozostali pasażerowie wagonu sypialnego? Chodzi mi przede wszystkim o mężczyzn.

– Jeden, to był poseł. Wiem z legitymacji. A reszta miała normalne bilety, znaczy, bez zniżki. Żadnego nie pamiętam. Panie, ja już miałem od tamtego poniedziałku dwie doby jazdy! Kto by tam pamiętał tych wszystkich ludzi. A kobiety od razu poszły spać.

– Jak się nazywał ten poseł?

Konduktor potrząsnął głową. Posła też miał „z głowy”, nawet nie wie, na jakiej stacji wysiadł. Posłowie często jeżdżą w teren, do swoich wyborców.

Kiedy konduktor wyszedł, naczelnik westchnął i rzekł, że wśród czterystu sześćdziesięciu posłów z całego kraju nie będzie łatwo znaleźć tego jednego, który mógłby ewentualnie udzielić jakichś informacji.

– Dlaczego? – zaoponował Szczęsny. – Łatwiej szukać wśród czterystu sześćdziesięciu posłów niż wśród kilkunastu milionów zwykłych podróżnych. Zresztą, za tydzień będzie sesja sejmowa. Na razie proponuję komunikat w prasie i telewizji. Zdjęcie, podpis: „Ktokolwiek może udzielić” – i tak dalej, jak zwykle. Może zgłosi się ktoś z tych czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Czy przeglądaliście meldunki o zaginięciu? – zwrócił się do naczelnika.

– Wszystkie. Nic tu nie pasuje. Ale to jeszcze za wcześnie. Przecież ten człowiek mógł jechać do Zebrzydowic na tydzień, dwa. Ani rodzina, ani zakład pracy nie mają jeszcze powodu do niepokoju. Oczywiście, przyjmuję, że miał rodzinę i że pracuje. To znaczy, pracował.

– Pewnie sekcja powie nam coś więcej. Cóż, w tej sytuacji ja wyłączam się ze śledztwa tutaj i przenoszę się do Warszawy. Będziemy się kontaktować. Poprowadzę poszukiwania po swojej linii, a wy tutaj po swojej. Proszę uzgadniać ze mną ważniejsze posunięcia, ja również będę wam przekazywał wszystko, czego się dowiem.

*

Szczęsny wrócił do Warszawy. Zdał swemu szefowi relację z tego, co zdołał ustalić w komendzie wojewódzkiej, i dodał, że być może zamieszczenie zdjęcia i komunikatu w prasie da jakiś efekt. Pułkownik Toporski wyraził wątpliwość, że jednak był od urodzenia sceptykiem, a ostatnio cecha ta zaczęła wysuwać się u niego na pierwszy plan, Szczęsny nie przejął się. Wiedział, co robi. Pułkownik szycował się do szpitala na operację kamieni żółciowych i trzeba mu było wiele wybaczyć.

Na trzeci dzień po powrocie majora, nadeszły wyniki sekcji zwłok denata NN. Nie przyniosły one żadnych rewelacji. Silny cios ostrym narzędziem, prawdopodobnie nożem o długości około dwunastu centymetrów, wymierzony z tyłu, pod lewą łopatkę. Człowiek byłby do uratowania, ale wykrwawił się i zamarznął w śniegu.

Potem następował długi opis stanu poszczególnych narządów, uzębienia, ślad po przebytej operacji wyrostka, potwierdzenie faktu, o którym mówił konduktor, że jego pasażer miał jedną nogę trochę krótszą. Lekarz, przeprowadzający sekcję, dopisał jeszcze taką uwagę: „Z pewnych charakterystycznych oznak można by wnioskować, że denat uprawiał sporty wodne, prawdopodobnie dużo pływał.”

Z czego on to wnioskował? – zdziwił się Szczęsny. I odpowiedział sam sobie, że być może z jakichś zmian na skórze, zaraz jednak odrzucił tę myśl. Sam często pływał i nie zauważył u siebie żadnych śladów, a jedyną konsekwencją były silne, sprawne mięśnie rąk i nóg.

Jednakże wniosek lekarza, jeżeli był słuszny, mógł pomóc w śledztwie. Dlatego major wysłał telex do komendy wojewódzkiej z prośbą o bliższe szczegóły. Przeglądał też uważnie meldunki i zgłoszenia rodzin o zaginięciu osób, na razie bez skutku.

Zdjęcie z komunikatem ukazało się we wtorkowej prasie stołecznej, a także wieczorem po dzienniku w telewizji. W treści nie było mowy o zabójstwie i w ogóle o znalezieniu zwłok. Proszono tylko o informacje ludzi, którzy mogliby coś powiedzieć na temat tego człowieka. Kosmetyka twarzy zrobiła swoje – trudno było poznać, że zdjęcie robiono w cztery dni po śmierci.

Już o dziewiątej rano odezwał się pierwszy telefon. Porucznik, czuwający pod telefonem podanym w komunikacie od razu przełączył rozmówcę do Szczęsnego, tak się umówili w przypadku, gdyby wiadomość była ważna.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI